

POTWÓR Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

W trzewiach Puszczy Białowieskiej panowała cisza tyleż dobitna, co fałszywa. W przytłaczające, mroczne milczenie wplecione zdawały się być szmery wiatru, śpiew ptaków i podejrzanym mlaskanie dobiegające z rozmaitych krzaków. Wąska, błotnista ścieżynka wiła się skręcona, pełna stojącej wody między gęstwinami okropnej, mrocznej zieleni tak wąsko, że gałęzie niemal się stykały. Drzewa nie były wysokie, za to przysadziste, skręcone i tajemnicze.

W lesie było mroczno jak diabli, tylko nieliczne krople światła spadały przez baldachim gałęzi. Smród życia i śmierci, splecione w nierozdzielnej mieszance, wznosiły się gęsto w parnym powietrzu.

Dwoje polskich turystów maszerowało przez najgłębsze łono dzikiego lasu, ciągnącego się od Płocka po Smoleńsk. Co prawda do jednego z większych miejsc Królestwa- Warszawy było tylko kilkadziesiąt kilometrów, ale tu dzicz była już gęsta. Polak był wysokim mężczyzną z sumiastym wąsem, beczułkowatym brzuchem, skarpetkami w sandałach i oczywiście ciemnych okularach i kapeluszu. Z kolei jego towarzyszką była odziana podobnie, miała za to gęste, wyraźnie farbowane rude loki i dość masy, aby ulepić z niej dwie mniejsze, za to ładniejsze kobiety.

Turyści byli zmęczeni i mieli przemoczone skarpety w sandałach.

-Janusz, chyba się zgubiliśmy... Ja ci mówiłam, żeby nie schodzić ze ścieżki...

-Cicho bądź, Grażyna. Nie będzie jakiś złodziej ze mnie zdierał przy bramce, tędy dojdziemy krótszą drogą do bagna z biesami...

-Ty tak na pewno? A mnie się wydawało, że idziemy w głąb lasu.

-Ja wiem lepiej... -mruknął, po czym skręcił w jeszcze węższą i bardziej krętą ścieżkę, rosnącą w kolumnadzie smukłych, mrocznych sosen. Komary wielkości pszczoł, w barwie krwi i obsydianu siekły tak, że po spoconych karkach zaczynała już płynąć powoli posoka.

-Janusz, a może zawrócimy?

-Nie mamroc mi tu, nie po to płaciłem za wstęp do rezerwatu, żeby teraz nawet biesa nie zobaczyć...

Przez ścieżkę przemknęła niewielka, płowa plama. W połowie przypominała żbika, ale wydawała się bardziej wyblakła, chudsza i jakby z dłuższym ogonem. Straszniejsza. Gdzieś w lesie obok mignęła wielokrotnie większa i ciemniejsza plama. Grażyna głośno przełknęła.

-Janusz, boję się...

-Nie ma czego, no zobacz...- w miejscu, w którym wyszli, ścieżka nagle stawała się szersza i mniej błotnista. Zaczynała przypominać biedną plażę, ciągnącą się wzdłuż płytkiego i mętnego strumienia.

Janusz i Grażyna byli osłonięci wysoką, zarośniętą skarpią, z której zwisały liczne korzenie i gałęzie. Nad wodą latały ważki. Grube jak kciuk, długie jak kiełbasy miały ogromne, perlące się skrzydła. Gdyby Janusz i Grażyna wiedzieli cokolwiek o tej puszczy, uciekliby czym prędzej, bo rój takich ważek umiał ożreć człowieka do kości.

Te jednak były spokojne, widać ożarły się delikwentem, którego szkielet leżał teraz na płyciźnie w obłoku krwi.

-Janusz...

-Zamknij się babo, bo jeszcze się przez ciebie naprawdę zgubimy- spod nóg Janusza wyskoczyła żmija wielkości anakondy i runęła do wody.

Grażyna się zamknęła, a Janusz postanowił wspiać się po skarpię w miejscu, gdzie stawała się łagodniejsza.

Teraz wyszli w lesie pełną gębą. Długie, kolczaste pnącza podchodziły i owijały ich o nogi, upiorne drzewa łapały ich za ramiona konarami, krzewy wpychały się do ust i zostawiały plamy oparzeń na skórze. Gęstwina była tak straszna, że musieli się rozpychać na każdym kroku.

-Janusz, tu już nie ma nawet symbolicznej ścieżki.

-Cicho bądź- syknął, strzepując z kapelusza kleszcza wielkości ludzkiej pięści. Od rosy przemokli od stóp do głów, a ciemność była tak tłusta i gęsta, że bardziej przydawały im się dłonie niż oczy.

-Dobra, już jestem zmęczona.

-Ja też- niechętnie zgodził się Janusz.

Usiedli na mokrym, oblażym wijami wężowej wielkości pieńku. Zaczęli coś jeść. Na drzewach mignął płomienny kształt ogromnej wiewiórki, a w okolicznych drzewach trzaski i ruchy czegoś większego i straszniejszego. Janusz wyjął piwko, z przeceny złoty pięćdziesiąt w „Stonce” i po chwili mocowania się złamał kapsel. Wypił niemal połowę na raz.

-Od razu raźniej i hardziej- uśmiechnął się.

Nagle rozległ się donośny trzask i mlaskanie rozdzieranych i łamanych drzew.

-Co to jest?- zdziwiła się Grażyna. Raczej przestraszyła.

-Coś dużego. Może Żmij... Nie wiem, jakiś czort może?

-Uciekajmy.

-Nie zrobią nam krzywdy no co...

Nagle zaszeleściło coś ogromnego i parę metrów za nimi coś się wyłoniło. Grażyna chciała się obrócić, ale potężny cios wyrwał jej krwawą dziurę wielkości pięści w klatce piersiowej. Szkarłatny kwiat rozkwitnął na bluzce, strugi krwi zrosiły ściółkę. Janusz akurat zdążył się obrócić i zarejestrował tylko ogromną parę jelenich rogów, gęstą, utkaną z korzeni brodę i okrywający potężną postać płaszcz z mchu. I oczy. Połyskujące głęboką, mroczną zielenią, ciemniejszą niż mroki lasu i zieleńszą niż jego korony.

Na samym końcu zauważył jeszcze jedną rzecz. Ogon, długi, połyskujący ciemnym futrem i uwieńczony kostnym ostrzem zanurzył się w jego gardle. Nie zauważył nawet purpurowego wodospadu spływającego po piersi. Umarł od razu.

Marek ciężkim krokiem wrócił z gęstwiny. Gdy ten potężny, prawie dwumetrowy mag wyłonił się z głuszy, zdawał się wyrastać, wygryzać z gęstwiny krzewów i mrocznej roślinności. Wszystko przez jego ciemną, uwalaną ziemią bluzę i brunatne dzinsy. Również płowe włosy były gęste i splątane, a osadzone w zimnej, surowej twarzy oczy połyskiwały złotym światłem niczym dwa małe słońca. Głogowski usiadł na przewalonym pniu, przy ognisku, które wydobyło jego wielką postać z mroku i pozwoliło dostrzec, że nie był wbrew pozorom takim kolosem. Był duży i atletycznie zbudowany, ale nie olbrzymi. Rozejrzał się niechętnie po niewielkiej, osadzonej w samym mateczniku puszczy północnego Mazowsza polance. Drzewa i krzewy z okolicy wydobywały oranżowy, miękki blask. Namioty były puste i rozświetlone głębokim światłem niczym lampiony. Michała nigdzie nie było. Marek podrapał się po gęstym zaroście i zastanowił, gdzie mógł podziać jego kumpel. Może polazł na coś zapolować. Władcy bestii dość często musieli odżywiać się surowym, upolowanym mięsem, Wadowicki nie był wyjątkiem. Mógł też gdzieś się zgubić, paść ofiarą potwora...

-Władca bestii ofiarą potwora?- Marek zaśmiał się głębokim głosem ze swojej głupoty- No, powinienem mniej pić chyba.

-Na wyjeździe można- usłyszał nieco wyższy, przyjemniejszy głos swojego przyjaciela, wyłaniającego się zza drzew.

Michał był podobnie wysoki co on, ale szczuplejszy, miał długie ciemne loki, krótszy zarost i ciemną karnację. No i ogromne, czarne oczy, w których nieustannie tliły się płomyczki, nie wiadomo, czy złości czy zadowolenia. Marek bardzo często się zastanawiał nad tym, kim właściwie był Michał.

Na pewno był renomowanym najemnikiem od spraw wszelakich. Jako władca bestii słynął z uniwersalności swoich usług, ale... Te oczy. Marek był wszechstronnie wykształconym magiem i słyszał o Smoczach Cesarzach, ludziach, którzy umieli narzucić swoją wolę nawet tym bestiom z innych wymiarów. Ich atrybutem było ogniste spojrzenie. Machnął na to szybko ręką. Mrzonki. Michał był po prostu mistrzem swojego rzemiosła, nic więcej.

Władca bestii w dłoni miał dwa piwa, a u jego nóg powoli spacerował warg. Wargiem prostaczkowie zwali każdego wilka wielkości konia, nie wiedząc, że magowie również czasem takie tworzyli. Prawdziwy warg jednak był chudą, okropną bestią o mocnym grzbiecie, długich nogach i ogonie. Kępy czarnego, nastroszonego futra były tylko na karku i ogonie, całą resztę pokrywała napięta, czarna skóra pod którą tańczyły grube żyły. Na większości wyjazdów Michał znajdował sobie ulubieńca, którego opanowywał.

-W sumie racja. Dawaj- Michał rzucił mu butelkę. Mag złapał zręcznie, po czym otworzył. Zaczął powoli sączyć.- Znalazłeś coś ciekawego w lesie?

-Nic. Trochę rozchlapanej krwi po drzewach, ale cieniutko rozrzucona. Z resztą wiesz, co to za las. Mogli ją przelać wczoraj, mogli przelać miesiąc temu. To mógł być martwy człowiek albo zraniona zwierzyna. Posłałem Herberta za śladem, nic mi nie przyniósł.- Michał usiadł ciężko i osuszył butelkę praktycznie na raz.

-Już wypiliśmy? Ja chciałem jakiś toast wznieść czy coś innego może...

-Czekaj- Michał sięgnął po małąkę leżącą w plecaku i przelał jej zawartość do butelki.- No to mamy dość na toast. Za co pijemy?

-Za tydzień, spędzony w głuszy Puszczy Białowieskiej... Bez mojej dziewczyny i twojej córki.

-Dobry toast- obaj opróżnili butelki- Zjemy coś?

-A masz coś do jedzenia?

Michał wyjął ze swojego worka podróznego kawał mięsa wielkości męskiego uda.

-Ooo... Nieźle poszły łowy- Marek się oblizał. Od kiedy byli w Puszczy Białowieskiej żarli nieliczne zwierzątka, które upolowali i magicznie zmodyfikowany mech.

-Jeleń. Akurat jedno zwyczajne, niemagiczne stworzenie się zabłąkało, to posłałem Herberta, aby ubił- warg usiadł przy Wadowickim, a ten zaczął go głaskać, jakby był słodkim szczeniakiem.

-Rzuć, zajmę się tym- Marek z łatwością złapał kawał mięsa. Poczł tłuście, sączące się z niego soki i aromatyczny zapach. Mag był zwykłym człowiekiem,

a ta woń go kusiła. Zastanawiał się, co musi czuć Michał, którego zmysły były połączone ze zmysłami warga.

Głogowski z łatwością nabił kawał mięsa na kilka długich, grubych pali i tak sprytnie zmontował, że żarcie zawisło nad ogniem. Wykonał parę ruchów dłońmi, wznosząc znad nich wielobarwne płomienie, które spływały na mięso.

-Masz dziś ochotę na pieczeń w gorzkiej marynacie ziołowej?- zapytał, kończąc zaklęcie.

-Oczywiście- uśmiechnął się Michał.- Zostajemy tutaj do rana, nie? A gdzie ruszamy dalej?

-Ja bym poszedł na matecznik. Bagno biesów mineliśmy wczoraj, mamy je parę kilometrów za plecami. Najgęstszy matecznik, Serce Ciemności jest jakieś dwa dni drogi przed nami.

-Ty poważnie chcesz tam wchodzić? Ja wiem, że jesteś magiem, ciekawym świata i w ogóle, ale budzą się tam ponoć bestie, których nie widziano od upadku Imperium Lechitów.

-To będziemy pierwszymi, którzy je zobaczą- Marek wydawał się zadowolony. Był. Serce Ciemności było jednym z kilkunastu mateczników na ogromnej przestrzeni puszczy. Leżało na pograniczu Podlasia i Mazowsza i od kilkudziesięciu lat nikt tam nie wchodził. Mag miał od dawna ambicję wejść tam i zbadać tamtejszą florę i faunę, może nawiązać kontakt z przeklętymi bestiami. Oczywiście nie mógł iść sam, a któż by mu pomógł lepiej niż władca bestii?

-Trochę się boję. O tym miejscu krążą mroczne legendy.

-Ciekawe z czyich ust. Od prawie stu lat nikogo tam nie było. Nie żyje nikt, kto mógłby je zbadać i obejrzeć.

-Właśnie. A może weszli i już nie wyszli?

Mag prychnął. Jak na osobę bawiącą się z wargami Michał bywał okropnie straszliwy w kontakcie z mocami nadnaturalnymi. W tym wypadku jednak ta moc była tak naturalna jak to tylko możliwe, to była sama esencja splecionych ze sobą życia i śmierci.

-Dokumenty mojego bractwa potwierdzają, że od Pierwszej Wielkiej Wojny żaden uprawniony mag tu nie wchodził. A jeśli wchodzili losowi turyści, nie dziwię się, że zdechli.

-W ogóle dziwię się, że taki młodzieniec jak ty, ma odwagę tam wchodzić...

Marek się skrzywił. Był młodzieńcem, to prawda. Parę lat temu skończył studia, ale już uchodził za mistrza w swojej dziedzinie i nie życzył sobie, żeby nikt, nawet starszy o dwadzieścia lat władca bestii podważał jego zdolności.

-Michał, spokojna twoja głowa. Już mój interes w tym, żeby nie spadła ci z karku. Jestem silny, potężny bym powiedział. A w głębi matecznika moc władcy bestii tylko rośnie.

Wadowicki ciężko westchnął.

-No dobrze, no to słucham się jak idziemy.

-Kilometr na wschód mamy Ścieżkę Kiernickiego. Pójdziemy nią trzy kilometry, dalej mamy Gnijącą Wodę. Niał będziemy chyba szli cały dzień, aż do rozgałęzienia. Tam pójdziemy węższą linią, nazwaną Jadowym Spływem, potem wejdziemy skarpą przy Szczycie Rożniewa. Potem musimy iść dwadzieścia kilometrów Starą Drogą i będziemy stali u stóp matecznika.

-To kilkadziesiąt kilometrów drogi- pokręcił głową Michał- Pewnie niebezpiecznej.

-Poślij Herberta na zwiad- zasugerował Marek- Niech warg sprawdzi najbliższe kilka kilometrów i oczyści z pomniejszych zagrożeń. Może coś upoluje.

-Dobry pomysł- Michał pogłaskał wargę po futrzanej szyi- Leć, słyszałeś Marka.

Warg niczym ogromny, niebezpieczny szczur zniknął zanurzony w gęstwinie drzew i krzewów. Nie wydał nawet szelestu.

-Boję się, co będzie jak spotkają nas większe zagrożenia- mruknął Michał, patrząc w ogień.

-W tym lesie jest wiele zwierząt, którym możesz narzucić władzę.

Przed siedzibę Rezerwatu Białowieskiego Zlewiska Magii zajęchała olbrzymia czarna wołga. Auto miało szyby przyciemniane kilkukrotnie powyżej normy, rozmiarowo również było kilkukrotnie większe, a zza zamkniętych szyb płynęła międzynarodówka. Monstrualny pojazd wtoczył się na wewnętrzny dziedziniec drobnego, leżącego na wzgórzu pod Białymstokiem, w mchu rzadkiej jeszcze puszczy, zameczku. Mała twierdza miała jeden donżon otoczony niecałym kilometrem murów i jedną wieżyczkę. Nikt nie wiedział, na co ona tu była, bo raczej nie do obrony. Ale była, więc rząd ją wykorzystał.

Z auta powoli wytoczyła się ciężka, ospała postać funkcjonariusza SB. Jerzy „Uszaty” Miejski był niskim, tęgim mężczyzną o wielkich uszach, łysej czaszce i niezdrowo bladej karnacji.

Agent naciągnął na pazurzaste dłonie ciemne, miękkie rękawice i powoli skierował się do gabinetu dyrektora rezerwatu. Deszcz siekł nieprzyjemnie z mrocznego, chmurnego nieba, ale nerwowemu esbekowi to nie przeszkadzało. Mimo że był słabego zdrowia, deszcz akurat lubił.

Po chwili wszedł do ciepłego, mrocznego, suchego holu i bez słowa wyjaśnienia ruszył do gabinetu dyrekcji. Recepcjoniście-chudemu, ponuremu chłopakowi- chyba się to nie spodobało.

-A pan dokąd?

-Dokąd mi się żywnie podoba- rzucił, opierając dłoń o pistolet. Chłopak zamilknął, a on w spokoju wszedł do sporego, pełnego trofeów gabinetu dyrektora. Wysoki, potężnie zbudowany rudy mężczyzna bez jakiegokolwiek zarostu przywitał go butelką whisky stojącą na biurku.

-Widzę, że się mnie spodziewałeś.

-Nie powiem, że akurat ciebie. Ale wiedziałem, że SB kogoś przyśle, a że ciebie to chyba tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

-No to wypijmy za ten zbieg okoliczności- Uszaty zrzucił płaszcz i wychylili z dyrektorem po szklance.

-Widzę, że informacje o tym, co się stało doszły już do centrali.

-Tak. Zazwyczaj zajmujemy się polowaniem na opozycję, ale z tego, co wiem, ta sprawa dostała najwyższy priorytet. Nie zaangażowano żadnych magów, z tego co wiem.

-Zgadza się. Oczywiście, ja jestem magiem, ale nie biorę udziału w misji. Będziecie próbowali ich znaleźć?

-Nie... Najprawdopodobniej już nie żyją. Gdyby żyli, nie byłoby roboty dla mnie. Jeśli w lesie odrodziły się mroczne siły, to oznacza zagrożenie bezpieczeństwa państwowego. Jeśli te mroczne siły nie były w stanie zabić dwóch turystów, byłbym niepotrzebny.

-Te mroczne siły nigdy nie umarły, żeby musiały się odradzać- ponuro stwierdził dyrektor. Deszcz walił w okna, nadając jego słowom mroczny wydźwięk. Uszaty miał dziwne wrażenie, że w falującej światłości coś się poruszyło.

-To chyba najwyższa pora- uśmiechnął się Miejski.

-Będę cię z całego serca wspierał. Kiedy ruszasz do matecznika?

-Jutro o brzasku. Nie mam zamiaru w nocy tłuc się przez puszcę, a o świcie mroczna magia traci moc.

-Rozumiem. Masz ludzi?

-Dziesięciu agentów SB. Daj nam trzech, czterech łowców czy innych przewodników.

-Rozumiem- mruknął, notując to w jakimś zeszycie.- Ile dajesz sobie czasu, zanim poinformuję kierownictwo w Warszawie?

-Tydzień. Dwa dni na dotarcie, trzy na realizację misji, dwa na powrót.

To też sobie zapisał.

-Ten twój Herbert to nie przekreślił się gdzieś w rowie?- mruknął Marek dziarsko maszerujący wzdłuż Gnijącej Wody. Rzeczka rozlewała się płytko, ale bardzo szeroko swoją mętną, śmierdzącą wodą. Z jednej strony bezpośrednio przechodziła w gęsty, spleciony las, ale z drugiej osłaniała ich skarpa.

-Nie, nadal wyczuwam w nim życie. Idzie przodem oczyszczać nam drogę i szukać niebezpieczeństw, jak się zatrzymamy zawróci.

-To chyba niedługo będzie musiał- westchnął Głogowski, ścierając pot z czoła. Maszerowali już cały dzień. Słońce stało nisko, cienie były długie i coraz mroczniejsze, a ruda luna przelewała się ciepło po okolicy.

-No. Znajdźmy szybko Jadowy Spływ i się tam rozbijmy. Już powoli zaczynam mieć dość- syknął Michał. Takiemu to dobrze. Jako władca bestii był niemal zrośnięty z puszczą i nie odczuwał smrodu, wilgoci i gorąca. Za to Marek czuł, jakby zaraz miał zgnić i ugotować się równocześnie.

-Z tego co pamiętam przy Zgniłej Wodzie zawsze było znośnie- mruknął mag- Nie wiem, znak czasów.

-Globalne ocieplenie - zgodził się Michał.

Do Jadowego Spływu dotarli już, gdy słońce opadło za horyzont, czyniąc las jeszcze mroczniejszym. Jadowy Spływ był rzeczką wąską, głęboką i rwącą, ryjącą w ziemi kanion na parę metrów. Michał i Marek rozbili namioty i rozpalili niewielkie ognisko. Akurat kończyli jeść upolowany kawał mięsa, kiedy Herbert wyskoczył z cienia. Głogowski spodziewał się, że warg zaszczeka, ale on miał coś w pysku.

-O... Co nam upolowałeś... Przynieś Herbercik, przynieś...- bestia przyszła grzecznie niczym szczeniak i rzuciła przed swoim władcą urwaną ludzką łydkę. Noga, tknięta już mocnym rozkładem, wyglądała mimo tego dość świeżo. W tym lesie wszystko gniło błyskawicznie, więc mogła mieć dzień, może dwa, choć śmierdziała już niewyobrażalnie, zsiniała i oblaży ją robaki.

-Twój warg tego nie upolował- chłodno stwierdził Marek.

-Nie jestem ślepy- mruknął Michał.

-Coś zabiło tych ludzi.

-Brawo, kapitanie oczywisty. Ludzie czasem giną w Puszczy Białowieskiej.

-Dziwne... Nikt jeszcze nie zginął poza matecznikami.

Marek się zachmurzył. To była prawda. Mimo mnogości bestii trudno było zginąć w tym lesie. Jeśli nie zaszedłeś do matecznika. Tam to śmierć była niemal pewna.

-Prawda... Ale mateczniki lubią się przesuwac...

-Zajmuje to dziesiątki lat.

-A nasze pomiary pochodzą sprzed trzech dekad.

Mag znów musiał niechętnie się zgodzić. Od blisko trzydziestu lat nie robiono kompleksowych badań tej puszczy, a te, z których korzystali, prawdopodobnie były nieaktualne. Ale najlepsze jakie były, a niestety ani car Aleksander IV ani król Zygmunt V nie śpieszyli się do ponowienia badań.

-No to prawdopodobne, że teraz siedzimy w środku Serca Ciemności- ciężko westchnął Michał, odpowiadając samemu sobie.

-Nie siedzimy- pokręcił głową Marek- Gdybyśmy tu byli, stalibyśmy w mroku tak gęstym, że musielibyśmy używać rąk nawet za dnia. W smrodzie tak kwaśnym, że zdolnym spalić nam skórę. Wśród bestii straszniejszych niż smoki.

-Nie ma bestii straszniejszej niż smok- pokręcił głową z grobową pewnością Michał.

-Niestety, Żmij- smoczy księżę też żyje w tym mateczniku- mruknął Marek.

Michał dłuższą chwilę milczał, głaszcząc czarną bestię.

-I co? Widziałeś ofiary matecznika? Nadal chcesz iść w głąbię lasu?

-No raczej- Marek się szeroko wyszczerzył- O to przecież chodzi w naszym wyjeździe.

-To pójdę z tobą- Michał się wyciągnął- Tylko pozwól, że przez noc ogarnę kilka bestii, bo się boję.

Szelest, który obudził Marka był głębokim pomrukiem wygryzającym się z gęstwiny. Mag, drzemający na wpół przytomnie na pieńku, gwałtownie się poderwał i wyrwał z pochewki u pasa długi na dwie stopy, mocno gięty mieczyk. Oręż połyskiwał głębokim, przezroczystym błękitem, wykuto go bowiem z magicznej materii. Marek, nie mogąc określić na szybko źródła dźwięków, zaczął się obracać z wycelowanym w dzicz orężem. W jego drugiej dłoni zapłonęła kula płomieni, która podświetliła okolicę. Michał nie spał. Siedział na drugim przewalonym pieńku nad brzegiem z otwartymi szeroko ognistymi oczami. Ostrzył swój długi na stopę nóż na kamieniu.

-Słyszałeś?- spytał rozedrgany Marek.

-Słyszałem- chłodno odparł Michał- To nie był zwykły szelest.

-Nie- potwierdził Marek, teraz spokojniejszy- To szelest śmierci. Demonów. Potworów.

-Przesadzasz chłopie. Po prostu coś dużego. Posłałem Herberta, żeby to znalazł.

-Pewnie nie wróci- Marek usiadł obok kolegi, ale nie odłożył miecza ani nie rozwiązał zaklęcia.

-Możliwe. Ale już nam ogarnąłem kilka lepszych bestii do ochrony.

-Hm?

-Bazyliszek Wielogłowy, kilka zmierzchowych kruków, dziesięć biesów.

-A jakies... Hmm... Południce, może?- uśmiechnął się Marek.

-Południce i Północnice występują raczej na Białorusi- ze smutkiem mruknął Michał.

-No, ale obstawę nam zapewniłeś godną- zgodził się mag.

-Dobra, wracaj do spania, ja tu posiedzę.- Michał był cichy i nadal ostrzył swoją broń, choć czerwony blask płynął po niej jakby kroła go na pół.

-Nie, raczej już nie zasnę dzisiaj.

Siedzieli w milczeniu pewien czas. Mogło to być kilka minut, mogło kilka godzin. W puszczy czas nie płynął. Była tylko wszechobecna ciemność i cisza, z której wyrwano obszar rozświetlony płomienną kulą Marka. Nagle dopadł ich dziwny dźwięk. Ni to wycie, ni to młaśnięcie czy warknięcie. Coś jakby jazgot, rzeżenie zabijanego zwierzęcia.

-Co to było?

-Sprawdzę- stwierdził chłodno Michał, wstając z pnia.

-Ja to zrobię- Marek był szybszy. W jego dłoni rozblysnął zarodek srebrzystego zaklęcia. Przeszedł kilkadziesiąt metrów, rozświetlając sobie drogę jasnością miecza. Krzewy robiły się tak gęste i pełne rosy, że po kilku krokach był cały mokry i obszarpany.

Ale nie tak obszarpany, jak warg leżący pod drzewem. Brzuch rozpruto jakby potężnym uderzeniem czegoś twardego a tępego, wylała się z niego istna rzeka czerwonej krwi, a jelita rozwlekło jak girlandy. To była czysta śmierć na jeden cios, Herbert nie stracił nic poza wnętrznościami. Marek ciężko przełknął, bo zapach krwi i trzewi go zemdlił. Zawrócił do obozu.

-K.....- syknął Miejski, znów przewracając się o korzeń. Tutaj nie było ciemno i duszno, było dużo luźniej i jaśniej. Ale i tak okropnie niewygodnie się szło.- Jak daleko do tego matecznika?

-Dwie, trzy godziny drogi- odparł przewodnik-wysoki, dziki mężczyzna o szalonym spojrzeniu i prawie bez zębów. Pewnie z Podlasia.

-Tak samo mówiłeś sześć godzin temu- mruknął Miejski, poprawiając swoje bogate uzbrojenie, w tym ogromny karabin.

-Wszystkie mapy, które mamy pochodzą sprzed trzydziestu lat. Matecznik mógł się przesunąć, drogi zmienić bieg.

-Mam nadzieję, że szczególnie się nie zmieniły- obrzucił zazdrosnym spojrzeniem dużo młodszych, idących dużo różniej podwładnych. Jednak stary agent SB powinien siedzieć w miastach i torturować opozycję.

Szli tak jeszcze pół godziny. Zdaniem przewodnika było tu rajsko, cudownie i w ogóle świetnie w porównaniu do reszty lasu, ale Miejski i tak powoli zaczynał się dusić.

-Dość- syknął, kiedy minęli ogromną, rwącą się ku górze skałę- Zarządzam odpoczynek.

-To nie jest mądre- pokręcił głową dziki przewodnik- Odpoczywać można tylko w specjalnych miejscach. Polecałbym rozstaje rzek albo dróg, tam demony rzadko przychodzą.

-No, to ile do tego twojego postoju?

-Najwyżej piętnaście minut.

Po godzinie marszu, kiedy Jerzy był już cały mokry, las robił się coraz bardziej gęsty. W końcu po obu stronach drogi mieli zielone ściany, zza których wylaniały się mroczne otchłanie. Coś drgnęło. Coś ogromnego i mrocznego. Ale poruszyło się tak szybko, że wydało tylko złowieszczy dźwięk, zanim ktoś to zauważył.

-Co to...- spytał Uszaty.

-Radziłbym przyśpieszyć- mruknął przewodnik. Posłuchali się. Po chwili niemal biegli, ale utrzymywali marszowy krok.

Ruszyło się znowu, tym razem jakby bliżej. I jakby dojrzeli blask żywszej zieleni w mroku.

-Co to może...

-Szybciej- syknął przewodnik- I nic nie mówić, wyczuwa dźwięk.

Teraz już naprawdę biegli, ale ciemny kształt biegł tuż za nimi i wydawał się być od nich dużo szybszy. Nie słychać było pękających gałązek, tylko szelesty. Bestia wydawała się czaić tuż za ścianą zieleni, jakby można było ją zaraz zobaczyć, a potem usuwała się z pola widzenia.

-Co to jest?

Przewodnik nie odpowiedział. Z jego gardła ziała ogromna, krwawiąca dziura. Jego potężne, dzikie ciało osunęło się bezwładnie na ziemię. Uszaty się obrócił i zobaczył jak niewidoczny cios rozpruwa brzuch jego kolegi, wywalając jelita bładą girlandą w niebo. Chciał sięgnąć po broń, ale nie zdążył. Uderzony w potylicę stracił przytomność.

-Ej, Marek, daleko ten matecznik?

-Powinniśmy mieć jeszcze dwie czy trzy godziny drogi do krawędzi... Ale jak tak patrzę, to chyba się trochę przesunął ostatnimi czasy.

Drzewa wokół nich były chaotycznie splątanymi kolumnami czerni pozbawionymi jakiegokolwiek stabilności i rytmiki. Strzelające w niebo słupy pni splatały się gęstymi, krzywymi gałęziami i istnym morzem mrocznej, matowej zieleni. Wszystko tonęło w setkach odcieni krzewów i brązowych plamach ściółki. Światło przesiąkało tylko pojedynczymi kroplami, sprawiając, że mrok stawał się tylko jeszcze bardziej wyczuwalny. Tutaj zapach był okropny. Martwy, zgnilizna i śmierć. Było parno, wilgotnie i lodowato.

Cienie wezwanych przez Michała bestii podążały za nimi.

-To chyba tutaj- zgodził się władca bestii, patrząc przy tym w oczy jednej ze skał, dziwnie podobnej do wynaturzonego, zdeformowanego człowieka.

-Taaaak... Omińmy może ten strumień- woda była wartka, głęboka, inaczej niż w Gnijącej Wodzie, ale była też jedna zasadnicza różnica. Była całkiem czarna.

-Dobry pomysł.

Przeszli nie przez strumień, ale wzdłuż niego, aż znaleźli miejsce, gdzie rozrzucone kamienie umożliwiły przeprawę bez wchodzenia do wody.

Maszerowali jeszcze jakiś czas w głąbie lasu aż Michał się odezwał.

-Czego ty tak właściwie szukasz w tym mateczniku? Jakich odkryć chcesz tam niby dokonać?

-Pierwsze już mamy. Matecznik przesunął się o trzy, cztery kilometry na południowy wschód. W stronę Warszawy.

-To raczej źle?

-Bardzo źle. Serce Ciemności przesuwa się w kierunku dwumilionowej metropolii. Może się zatrzyma na krawędzi puszczy, ale jeśli pójdzie dalej pewnie będziemy musieli wypalać region magicznym ogniem.

-Spodziewacie się licznych ofiar?

-Tysięcy. Ale to nie temat na taki wyjazd rekreacyjny. Wracając do twojego pytania, to choćby zbadać aurę miejsca.

Podniósł głowę i zobaczył długie, ciągnące się w powietrzu nici srebrnej, tłustej magii.

-Jeśli przyklei mi się do ubrania czy nawet do specjalnej, chłonnej substancji, którą ze sobą noszę, będę mógł je zbadać. Poza tym sprawdzamy, czy stare trasy są bezpieczne.

Nagle coś drgnęło, kilkanaście metrów od nich. Linie magii zadrżały i rozproszyły się, rozlała się opalizująca, magiczna ciemność.

-Co to było?

-Czekaj... Horacy!- Michał wydał rozkaz bazyliżkowi. Ukryta dotychczas w krzakach bestia wypłynęła z nadzwyczajną prędkością. Gruby, tłusty, długi na kilkanaście metrów wąż w barwach maskujących w trzech czwartych długości rozdzielał się na kilkadziesiąt węższych, dłuższych szyj z głowami. Zdziwiająco szybki, runął w pościg za tajemniczą, ukrytą w lesie istotą. Po chwili nie słyszeli nic. Ani syczenia i czołgania węża, ani szelestu tajemniczej istoty.

-Proponuję przyśpieszyć- rzucił Marek.

-Popieram.

Jerzy „Uszaty” Miejski obudził się mokry i obolały. Leżał wgnieciony w liście, nieprzyjemnie wilgotne, pełne kamieni i kawałów twardego drzewa. Nie wiedział, ile leżał, ale chyba dość długo, bo już się posiniaczył. Poczul, że garnitur ma mocno poszarpany i poobdzierany. Twarz z kolei była zanurzona w śmierdzącej ściółce. Powoli się podniósł i okręcił, aż zdał sobie sprawę, że kostki i nadgarstki ma spętane czymś grubym, jakby lianami. Czymś grubszym i twardszym jak korzenie. Otworzył oczy, ale wpadł w wątpliwości, czy na pewno to zrobił, bo było ciemno jak cholera. Drzewa zajmowały więcej miejsca niż odstępy między nimi, kilkanaście metrów nad ziemią zaczynała się splątana gehenna wypaczonych gałęzi i liści. Całą przestrzeń, którą łaskawie im zostawiły drzewa zajęła gęstwina tysięcy krzewów. Więc Uszaty i tak widział tylko na parę metrów.

Wokół niego nikogo nie było, nawet zwłok.

-Chłopaki! Jest tu ktoś?- wykrzyczał zachrypłym głosem- Ej, może jakieś potwory? Ty, który mnie spętałeś, wyłaź!

Nagle w mroku krzewów zafalował gigantyczny, mroczny kształt, cichy i szeleszczący.

-Znaczy... Jaśnie wielmożny panie, który słusznie wzięłeś mnie w niewolę, czy raczyłbyś mi się pokazać?

-Mój pan nie raczy- głos był niskim, pomnożonym, burczącym sykiem wpływającym z samych trzewi lasu- Ale ja mogę.

Drzewa i gęstwina nagle się rozsunęły. Trudno powiedzieć, żeby zniknęły, przesunęły się, czy coś. Nagle stały się mniej gęste, bardziej przejrzyste i luźniejsze. Uszaty wstrzymał oddech ze zdziwienia, kto przed nim stoi. Zmij-książę smoków miał niski, właściwie żabi korpus oparty na sześciu krótkich, masywnych kończynach. Korpus przechodził w długi, drżący nerwowo ogon,

dwa wielkie, cienkie, przezryste skrzydła rozkładały się powoli. Głównych było kilkanaście, osadzonych na długich, grubych jak pytony szyjach. Wszystkie mówiły jednocześnie.

-Żmij?

-A kogo się spodziewałeś? Pięknej, nagiej Południcy? No to nie tutaj- syknął, opuszczając i podnosząc rytmicznie ciało.

-Myślałem, że to ty jesteś panem, a sługusem jest ktoś inny.

-Z szacunkiem, proszę...- syknął plując kwaśną śliną.

-Racz wybaczyć. Myślałem, że to ty sprawujesz właściwą władzę, a ktoś inny pełni potrzebne funkcje zarządzające.

-No widzisz... Pojawił się ktoś nowy. Nowy czy raczej stary władca. Obudził się z wiekowego snu, a ja posłusznie zgiąłem głowy.

-A... Co ja tu robię?

-Klasycznie. Zabiliśmy psy i podwładnych, aresztowaliśmy dowódcę.

-Będziecie żądać okupu? Pieniądze was chyba nie obchodzą, a jeśli chcecie, żebyśmy ustąpili wam jakieś ziemie, musielibyście zdobyć co najmniej księcia Andrzeja Marka.

-Czekamy na powrót naszego pana. On cię osądzi i ukarze.

-Za co?- Jerzy był przerażony.

-Za naruszenie naszego świętego matecznika. Jeśli okaże łaskę, wypuścimy cię. Uprzednio jednak przesłuchamy cię, wyciągniemy informacje...

-Po co?

-A po co się przesłuchuje? Nadchodzi wojna.

-Czyja?

-Między nami. A wami.

Uszaty ciężko przełknął i więcej nie mówił.

Po skórze Marka przebiegło drżenie. Nieprzyjemne, lodowate drżenie. Co prawda w Sercu Ciemności zazwyczaj było zimno i wilgotno, ale chłód bił z dołu. Teraz wydawało się, że mroźna mgła płynie nisko nad ziemią, wchodzi w kości i tkanki. Towarzyszył temu smród zepsucia, zgnilizny. I śmierci.

Mag błyskawicznie się obudził. Obudził, ale nie wstał tylko powoli rozwarł oczy, ukrywając je pod iluzją zamkniętych powiek. W nocy w mateczniku było tak ciemno, że nie sposób było dojrzeć własną ręką wyciągniętą na pełną długość. Tak duszno, że oddychanie było wyzwaniem i tak zimno, że nawet w środku lata woda zamarzała w butlach. I mokro. Przede wszystkim mokro.

Mimo tych wszystkich nieprzyjemności dojrzał plamę wielokrotnie ciemniejszą, chłodniejszą i wilgotniejszą. Gęsty, wielki cień czerni rozlewający się po drzewach i za nimi. Syk biesów, małych, obrzydliwych zielonych demonów na pajęczych nogach zapowiadał, że było to coś wielkiego i strasznego. Nie było nic zdolnego rozproszyć mrok, ognisko nie chciało się palić w tak przesiąkniętej magią głuszy. Magią. Właśnie, to magia niczym chłodna ropa zalewała ich swoimi mrocznymi rzekami. Marek wiedział, że cień go obserwuje swoimi oczami, mrocznymi jak czarne szmaragdy i póki co nie zamierza mu zrobić nic złego.

Póki co. Głogowski znał siłę bestii, zbyt długo przyjaźnił się z Michałem, żeby nie znać. I wiedział, że to, co na nich patrzy, nie jest zwyczajną bestią, a raczej czymś na kształt demona. Albo boga, granica była cienka.

Marek leżał rozedrgany, pewien że jego przyjaciel również się obudził i obserwuje obserwującego zarówno swoimi ognistymi oczami jak i spojrzeniem dziesiątków podległych mu istot. Doskonale wiedzieli, że konfrontacja z tym czymś skończy się rozlewem mniej więcej dwunastu litrów krwi należącej do dwóch mężczyzn, jednego trzydziesto-, drugiego czterdziestopięcioletniego, więc mogli tylko czekać. Mimo wszystko Marek pewniej się czuł, kiedy położył dłoń na ukrytej pod płaszczem różdżce, długim kawałku połyskliwego dębu, uwiecznionej małym rubinem w złocistej główce. Wyczuwał też linie myśli, kiedy Michał ściągnął swoich podwładnych w okolice.

Leżeli tak dłuższą chwilę z przechodzącymi w lód tchnieniami, aż bestia odeszła. Ośmielili się ruszyć dopiero, kiedy niezwykłe słońce przebiło się przez chmury, a jego złociste miecze zdziesiątkowały ciemność zalegającą między drzewami. Ostry, gorący świt wlał się w wiecznie mroczny matecznik, rozganiając jego czarną szatę. Michał ciężko wstał i od razu zapytał.

-Widziałeś tego w nocy?

-Widziałem- zgodził się, choć chciał móc zaprzeczyć.

-Ogromna bestia.

-Nie bestia- zanegował Marek- Demon, bóg, stary władca puszczy. Ale nie bestia.

-Jak mówisz. Jego umysł był dla mnie lodową ścianą, może faktycznie nie bestia. Obserwował nas. Poza tym to jego napadł Sykacz.

-Twój bazyliszek?

-Zgadza się.

-Skąd to wiesz?

-Spójrz- wskazał ręką na krzaki, gdzie widzieli demona. Pod krzewem ziała kałuża pełna połyskującej głębokim szmaragdem posoki.

-Musiał go nieźle pogryźć.

-Pytanie kto kogo- ciężko westchnął Michał- Bazyliszki również mają zieloną krew.

Cały dzień się do siebie nie odzywali. Dopiero pod wieczór, kiedy ciemność zaczęła wygrywać z umierającą krwią słońca, Michał się odezwał.

-Dokąd zmierzamy?

-Do matecznika- chłodno odparł Marek.

-Jesteśmy w nim.- głos Wadowickiego był zimny i twardy jak stal- Pytam się, kiedy uznamy, że zrealizowałeś kaprys i będziemy mogli zawrócić.

-Nie wiem... W sumie moglibyśmy już teraz. Ale jeśli powiesz mi, że nie zafascynował cię zielonooki demon nazwę cię kłamcą.

Michał dłuższą chwilę żuł w ustach odpowiedź.

-I dobrze byś powiedział. Ale lepiej być żywym kłamcą niż martwym głupcem. Szukanie tej Bestii to głupota. Zwłaszcza, że ma dość mocy zabić nas dwóch i to bez problemu.

-Nie wydaje się agresywna. Wie, że to twój bazyliszek nas napadł, a mimo to nie podusiła nas podczas snu.

Władca Bestii wydawał się bardzo zły, a w każdym wypadku niezadowolony.

- Wygląda na to, że będziemy musieli jeszcze trochę czasu spędzić w tym mateczniku.

W przeciwieństwie do niego Marek zdawał się usatysfakcjonowany.

O dziwo, Uszatego nie traktowali znowu tak źle. Czasem kazali mu pić mętą, smakującą błotem wodę, dawali do żarcia mech i kazali spać na niewygodnej ściółce, ale nikt go nie męczył, a magiczna opieka medyczna była na bardzo wysokim poziomie. Większość siniaków nikło w parę minut. Czasem nawet ktoś przychodził do niego pogadać, jak dzisiaj.

-W ogóle kiedy zaczniecie mnie przesłuchiwać?- zapytał żmija, popijając wino jagodowe, które smok przyniósł ze sobą.

-Mój pan musi wrócić ze swojej wyprawy. Wtedy cię przesłucha.

-A ty byś nie mógł?

-Mógłbym, ale możesz coś zataić, a ja nie mam jego mądrości, żeby wykryć kłamstwo- wysyczała bestia- On przejrzy twój umysł niczym mur ze szkła. A ja mógłbym cię uszkodzić. A nawet mój mistrz nie wyciągnie wiedzy z trupa.

-A ta wiedza wam jest potrzebna, żeby wchłonąć w puszcę Warszawę, tak?

Żmij niechętnie skinął głową.

-Nie powinienem ci tego mówić, ale tak. Puszcza łaknie. Krwawi. Jest głodna. Przed ośmioma tysiącami lat Synowie Lecha prawie ją wyrznęli do ziemi, ale wygraliśmy.

-A Synów Lecha, aby nie zniszczyło to, że zaufali upadłemu aniołowi o złotym obliczu.

- Kiedy obaliliśmy Lechów, nasza puszcza oparła się na Alpach i Renie. To były wielkie czasy, samo Imperium Rzymskie bało się naszej mocy- rozmarzył się wąż- Ale Synowie Lechów podnieśli się z Ciemnych Dni i znów nas wycięli. Kiedyś nasza granica mocy leżała na Pacyfiku. Dziś na Smoleńsku.

Uszaty przewrócił oczami świadom, że wąż chyba się rozgadał o wielkich planach.

-Jutro mogą ją położyć na Mińsku, pojutrze może nas nie być wcale. Puszcza jest cierpliwa, może wiele przetrwać, ale jeśli zginie jeszcze raz nie podniesie się po raz trzeci. Dlatego musimy zaryzykować i runąć na wielkie miasta wbite w łono naszej krainy...

-A mogę wiedzieć gdzie udał się wasz pan?- Jerzy spróbował przerwać tyradę smoka.

-Oczywiście. I tak nigdy już pewnie nie opuścisz puszczy, więc nic z tym nie zrobisz. Krąży po mateczniku. Znalazł dwójkę ludzi, którzy idą w naszym kierunku i ich obserwuje. To twoi?

Jerzy zamarł. Nie wierzył, żeby Karuzel, jego szef, wysłał kogoś po niego. Poza tym informację o nie wracającym Uszaty miał dostać dopiero za parę dni. To nie mógł być on, więc powiedział tylko ze smutkiem.

-Chyba nie. Nie wysłaliby jeszcze po mnie.

-No to nie twoi. W każdym wypadku mój władca uznał ich za interesujących i ich obserwuje. Kto wie, może w swoim leśnym lochu będziesz miał towarzystwo.

-Kto wie...- mruknął agent, widząc, że wąż się oddala i zostawił go sam. Potem westchnął ciężko i postanowił się upić jagodowym winem.

Marek nie wiedział czy to był sen, czy to była prawda. Zresztą dla maga granica między obydwoma była cienka niczym linia ołówka. I dużo bardziej rozmyta. Marzenia ukazywały głębię umysłu, inne światy, wreszcie ukazywały odbicie otaczającej magii.

Mag kroczył przez las. A może pałac? Nie wiedział, czy to drzewa czy kolumny strzelają wąskimi pniami w niebo. Nie wiedział, czy to liście czy dachówki,

mech był dziwacznie podobny do dywanu, a skały do rzeźb. Mimo to szedł. Szedł ścieżką, wyłożoną miękkimi liśćmi i przeblyskującymi białą kośćmi. A może to była srebrna nić wszyta w brunatny dywan? Nie mógł się zatrzymać, tajemnicza siła kazała mu iść. Przedtem również nie było żadnego oświetlenia, mimo to wszystko widział. Teraz jednak z każdym krokiem cień gęstniał aż w końcu musiał się zatrzymać, bo nic nie widział.

Nagle się rozświetliło. Nie, nie rozświetliło. W pewnym miejscu zapłonął mrok. Mrok tak gęsty, że oślepił swoją jasnością, osadzoną po drugiej stronie widma. Odciał się od otaczającej go ciemności tak, że ta zdawała się niemal szarością.

Przedstawiał majestatyczną postać o jelenim porożu, odzianą w połyskliwy płaszcz, wyniesioną na olbrzymim tronie. Dwa jeziora zielonego, ciemnego ognia tliły się w jej obliczu.

Marek chciał coś powiedzieć, spytać, złożyć hołd... Ale nie mógł. Miał zaklejone usta i mógł tylko ze ślepym uwielbieniem gapić się w ukrytą w cieniu twarz istoty. Zaczęła mówić. Nie po polsku, rosyjsku... Nawet nie po starosłowiańsku. To był dużo starszy język. Bardziej mistyczny. Pradawny. Piękniejszy i nadprzyrodzony w brzmieniu, a w ustach istoty przypominał pieśń starszą niż początki czasu.

Nagle Marek się obudził, zlany mieszanką potu i drgawek. Ale w uszach brzmiały mu dwa wyrazy, które jako tako zrozumiał *Widzę was*.

Całą noc nie zasnął.

Starał się zapomnieć o śnie. Ponieważ był magiem, znawcą ścieżek umysłów i zamków pamięci, niemal mu się udało, ale wszystkie wysiłki obalił Michał. W środku dnia, kiedy wędrowali wzdłuż olbrzymiej, wielkiej niczym małe miasto skały z ciemnego granitu odezwał się cicho.

-Miałem dziś w nocy sen- powiedział spokojnie i opanowanie jak zawsze- Nie był to zwykły sen.

-Od kiedy wielki władca bestii boi się koszmarów?- usiłował być elokwentny, ale czuł strach biegnący po karku.

-Zwykłych koszmarów nie- Michał nie wyczuł nieudolnego żartu- Ale to był proroczy sen.

-No, słucham- nie miał zamiaru jeszcze wyjawiać przyjacielowi swojego snu. W każdy wypadku nie miał zamiaru wyjawiać snów pierwszy.

-Szedłem lasem. A może pałacem, nie wiem już. Była gęsta mgła i ujrzałem istotę taką jak ze starożytnych lechickich świątyń, może widziałeś.

-Poroże, płaszcz z mchu, oczy jak czarne szmaragdy?

-Zgadza się. Ta postać stała nad brzegiem nieskończonego rozlewiska, a może sali balowej o podłodze ze szkła. Śpiewał w języku. Na pewno słowiańskim, ale nie powiem ci jakim.

-Coś zrozumiałeś?- po plecach Marka przeszedł dreszcz. Michał był władcą bestii. Mógł rozumieć więcej.

-Mówił... Nie wiem, czy zrozumiałem, ale brzmiało to tak „...rozgośćcie się w moim królestwie, ale wiedźcie, że widzę was cokolwiek zrobicie i zmierzacie do bram moich...”

Marek zamarł. Znał ten tekst, och, każdy mag tak dobrze go znał...

-Coś powiedziałem nie tak?

-Już wiem, kto jest władcą puszczy- powiedział biały jak ściana mag.

Władca puszczy, mroczny rogacz cicho sunął pomiędzy pniami drzew. Jego mroczna zwiewna postać ledwo szeleściła, przenikając przez gęstwiny. Nikt go nie widział, nie mógł widzieć. On nie ukrywał się w puszczy, on był puszczą. Jego mroczna cisza spływała na wszystko dookoła, gasząc światła i zabijając dźwięk.

Wspinał się i przenikał wzdłuż dróżki, obserwując dwóch maszerujących ludzi. Pierwszy był wysoki i gorący. Widać, że nie pochodził stąd, tylko z dalekiego, ognistego południa. Drugi był równie wysoki, ale potężniejszy i pachniał bardziej swojsko. Może pochodził z okolic puszczy.

Władcę puszczy zainteresowała ta dwójka. Ich zapach, barwa i dźwięki, które wydawali. Nie rozumiał ich słów, ale rozumiał znaczenie.

-Na pewno nadal chcesz iść dalej?- spytał niechętnie gorący. Mimo swojej płomiennej aury w tym wypadku, to on śmierdział strachem.

-Na pewno. To czego się dowiedzieliśmy, czyni zadanie bardziej niebezpiecznym, ale dodatkowo donioślejszym. Jeśli on powstał, obudził się... Wyobrażasz sobie jak wielkiej rzeczy dokonamy, jeśli z nim chociaż porozmawiamy?- spytał ten potężniejszy, pachnący chłodem.

-Będziemy wtedy wielkimi trupami- mruknął niechętnie drugi.

-Nie bądź taki sceptyczny. Ja muszę się z nim spotkać.

-Czasem myślę, czy ta magia nie pierze wam mózgu... Ona nie jest jak narkotyki? Normalny człowiek ucieka od bogów, od demonów, a was do nich ciągnie jak cholera. Jakbyście chcieli posilać się otaczającą ich magią.

-Bo tak jest- ten chłodny mruknął- Nawet teraz to robię. Władca puszczy w tej chwili na nas patrzy. I jest dość blisko, żeby stać w ogniu jego mocy.

Ukryta istota syknęła i cofnęła się kilkanaście metrów w głąb lasu. Potem rozplynęła się we mgle.

-To tutaj- Marek uniósł ręce, aby posilić się tłustą, zawieszoną, zielonkawą magią rozlaną w powietrzu- Dotarliśmy do jednego z serc lasu.

Tutaj nie było już tak przerażająco jak w reszcie matecznika. Ponad kosmaty las wyrastały ostre, wysokie na kilkaset metrów kły skalnego, stromego wzgórza. Marek i Michał jakoś się wspięli po licznych kanionach, stokach, grotach i stopniach i teraz stali na hali na samym szczycie, w koronie granitowych kłów. Z trawy gęstej jak dywan i wysokiej na metr wyrastało piękne drzewo. Niewysokie, pokrzywione o rdzawej, poplamionej na czarno korze miało szare, zwiotczałe liście i drżało, ociekając purpurową żywicą. Słodki zapach magii bił po nozdrzach to ogłuszenia.

-No i? Tu powinien być ten twój król puszczy- chłodno stwierdził Michał- A ja go nie widzę.

-A czujesz jego moc?- nie odpuszczał Marek.

-Czuję, chyba sam Zamknięty, by wyczuł. Ale równie dobrze może pochodzić od drzewa, od góry, od lasu- wskazał na bezmiar zieleni w pewnym miejscu przechodzący w poszarzałe niebo.

-Czekaj. On musi tu być. Może zaczekamy do nocy?

Marek nie chciał dać za wygraną. Był tak blisko, dotarł do samego serca lasu. Nie mógł się wycofać, nie ujrawszy króla.

-Wiesz, że zostanę z tobą, jeśli tylko zechcesz- mruknął, ścierając kroplę deszczu z policzka- Ale tu zaraz zacznie padać. A wtedy góra zmieni się w kaskadę rzek i wodospadów.

-Poczekajmy.

Padało coraz intensywniej. Niebo nabrało barwy ołowiu i nie sposób było ocenić, czy jest dzień, czy noc. Było równie ciemno, a woda lała się z nieba strugami. Gdzieś uderzyła błyskawica, rozświetlająca ciemne powietrze i wydobywająca cienie. Mężczyźni ukryli się w niszy skalnej, gdzie osłaniała ich od deszczu. Ścieżki zmieniły się w strumienie, granie w wodospady, a kotliny w jeziora.

-Utoniemy tu albo spadniemy i połamiemy- stwierdził sceptycznie Michał.

-Czekajmy- Marek pstryknął palcami, a w jego dłoni zawisła kula płomieni, która ich ogrzała i rozświetliła niszę.

-Na śmierć?

-Nie zginiemy tu... Zaczekajmy do rana. Noc jest niebezpieczna, poza tym jeśli nie pojawi się w nocy, nie pojawi się wcale. Z resztą gdy jest ciemno moce ciemności są silniejsze, więc nie ryzykowałbym zejścia do puszczy. Tu przynajmniej nie ma demonów i innych.

-A dlaczego?- spytał się Michał, rozcierając ręce.

-To święte miejsce królów puszczy, ich najwyższych dowódców i ich petentów. Tutaj królowie puszczy rozmawiali ze Stwórcą, rozmawiali z bogami i rozmawiali z szatanem. To miejsce stoi pomiędzy światami.

-Pomiędzy światami?- powtórzył jak papuga Michał- Więc teraz...

-Nie jesteśmy na Ziemi- zgodził się Marek- Tylko w Szarości, świecie poza czasem i przestrzenią. W każdym wypadku drzewo na pewno tam się znajduje. Inne wymiary są z nią niejako połączone, więc dotykając drzewa, mógłbyś się przenieść na przykład do boskiego wymiaru.

-Próbujemy- uśmiechnął się Michał- W Zajeździe u Odyna na pewno mają grzane wino.

-Raczej cienkie piwo...

-Ech... Mówię ci, ten twój cały król puszczy raczej nas lekceważy....

Nagle rozległ się dziwny szelest w okolicy drzewa.

-Słyszałeś to?

-No raczej.

-Chodźmy sprawdzić.

Kiedy podeszli do drzewa Michał się zaśmiał.

-Fajny owoc wyrósł na tym drzewie!
Na białym, grubym, skręconym konarze wisiał do dołu głową uwiązany jak baleron gruby mężczyzna z odstającymi uszami.

-Uszaty, co ty tu robisz?- spytał władca Bestii.

-Chłopaki, uwolnijcie mnie. Zimno tu strasznie- Jerzy był nagi jak niemowlę. Michał wyjął nóż i go uwolnił.

-Jerzy, co cię zagnało do tej puszczy...

-Chłopaki, ja wam wszystko wyjaśnię, tylko weź mi jakieś ubranie wyczaruj, Marek...

-Zaraz będzie- chłodno stwierdził mag- Michał, przygotuj Uszatemu coś do żarcia, bo chyba jest głodny.

-No, no...

Ranek zastał trzech panów przy ognisku. Nad kilkoma sosnowymi szczapami tryskały snopy gorącego, żółtego ognia, takiego jaki mógł stworzyć

tylko mag. W aurze barwnego dymu wisiał stalowy kociołek pełen potrawki. Deszcz ucichł, mroczne chmury rozwiało odsłaniając szarość nieba. Żłociste słońce zalało żółtą luną niebo, a jego ostre promienie odbijały się od mrocznej skały. Tęcza promieniowała chmurą nad lasem.

-Więc byłeś zamknięty w sercu mrocznego lasu i przesłuchiwany?- spytał Marek, jako podsumowanie opowieści Jerzego.

-Nie. Nie przesłuchiwany. Żmij mnie pilnował, ale jego szef nie przyszedł i w końcu mnie wypuścił. Czy raczej przywiązał nagiego do drzewa.

-Ja nadal jestem ciekawy, jak tu przyszedłeś- mruknął ciężko Michał.

-Drzewo jest międzywymiarowe- wyjaśnił Marek- Ale mówisz, że puszcza pragnie pożreć Warszawę?

-I chyba całe Mazowsze z Podlasiem- zgodził się Uszaty.

-Trzeba jakoś zareagować- Michał wydawał się smętny. Dziwnie na niego działała ta puszcza.

-Jak? Ściągniemy magów z całego świata i spuścimy na puszcze deszcz ognia?- zakpił Marek, ale po chwili spowaźniał- To w sumie mogłoby się udać...

-Nie wiem- wzruszył ramionami Michał- Postawić magiczne zapory na Wiśle, spuścić napalm, broń atomową...

-Puszcza leży również na ziemiach Rosjan- zauważył Jerzy.

-Myślisz, że Ruscy by nam nie pomogli?- uśmiechnął się władca bestii- Dobra, my tu marnujemy tlen, a chyba już można zejść z tej góry, nie?

-Chyba tak. Będzie mokro i ślisko, ale damy radę- zgodził się Marek.

Panowie zebrali się, sprzątnęli i opuścili niszę, kiedy zauważyli, że czegoś brakuje.

-Gdzie jest drzewo?- spytał, nie wiadomo kogo, Michał wbijając wzrok w doskonale gładką trawę, z której kiedyś było drzewo.

-Międzywymiarowość, mówi ci to coś?- burknął Marek i nagle zauważył osobę rozłożoną na głazie na skraju trawnika. Mógł tam być zawsze, od początku czasu, jeszcze wczoraj, ale mógł wyłonić się teraz z mroku powietrza. Wysoki, przerażająco smukły mężczyzna o młodzieńczej, smagłej twarzy i wielkich, ciemnozielonych oczach. Tak ciemnych i tak zielonych, że można było od nich oślepnąć. Z jego oblicza i głowy spływały długie, płowe korzenie, pełniące u niego funkcję włosów. Ze skroni wyrastały olbrzymie, jelenie rogi, a z ramion spływał sięgający ziemi płaszcz z mchu. Długi, uwieńczony kościanym kolcem ogon merdał po skałach. Podwinięte, pazurzaste stopy wyłaniały się spod mchu.

-Kim ty...- spytał Jerzy, nie mogąc złożyć słów w ustach.

-Panowie- uśmiechnął się Marek- Czujmy się zaszczytzeni. Odwiedził nas sam król puszczy, Leszy.

Na wąskich, zębatych wargach demona zabłąkał się uśmiech.

-W istocie.- miał cichy, piękny głos-Zaszczytysz mnie wyjaśnieniem, w jaki sposób odkryłeś moją tożsamość?

-Przeczytałem kiedyś parę książek- uśmiechnął się- Rozpoznałem we śnie twoją sylwetkę. Poza tym... Ten tekst ze snu. Czytałem go kiedyś na kurhanie pod twoją starożytną świątynią.

-Chylę czoła- roześmiał się Leszy i przecesał korzeniowe włosy- Widzę naprawdę mądrego człowieka. Gdy już pojrzę świat, będę potrzebował takich ludzi. Poza tym chyba jesteś magiem, czyż nie?

-Zgadza się.

-A twój przyjaciel władcą bestii?

-Tak.

-A ten gruby?

-On jest nikim.

-Aha. No to wasza dwójka, poza tym trzecim, przyda mi się. Jak już zawładnę światem zostaniecie moimi druidami i generałami.

-Zbytek łaski- skinął głową Marek- Raczej postaram się zadbać, abyście nie pożarli świata.

-Nie mogę wam tego zabronić- roześmiał się Leszy. Jak na demona dużo się śmiał- Walczcie po swojej stronie, możecie do mnie dołączyć, jeśli zwyciężymy. Pamiętajcie o tym.

-Nie zapomnimy- grzecznie odparł Michał- Nie zabijesz nas?

-Za kogo mnie macie- Leszy znów się uśmiechnął- Jedliście na skalnym tronie, u stóp mojego drzewa, więc śmiało. Jesteście moimi gośćmi, możecie wrócić.

-A ja to co?- prychnął Uszaty.

-Zamknij się - buchnął zadowoleniem Leszy.- Wy lepiej uciekajcie. Kiedy wybuchnie wojna w Warszawie przydadzą się wszystkie miecze.

-I... To tyle? Powiedziałeś nam o swoich planach, odwiedziłeś i zaszczyciłeś rozmową, a teraz wypuszczasz.

-Zgadza się- Leszy rozpląnął się we mgle, a trzech panów zostało samych na szczycie góry.

-I co, i teraz wojna?- spytał sam siebie Marek.

-No raczej. Trzeba będzie poinformować króla Zygmunta- kiwnął głową Michał.

-Ma któryś dojścia do dworu?- spytał kolegów Marek.

-Michał jest elitą władców bestii, a mój szef, Karuzelski widuje się z królem co parę dni- mrucał Uszaty- Jakoś z nim się dogadamy.

-Ja się bardziej boję, jak się dogadamy z Leszym i jego ekipą- podrapał się po potylicy Marek.

-Jakoś dogadamy. Ale to będzie dziwna wojna. Taka, której nie widzieliśmy od wielu lat. I uwieńczy ją wielki pokój albo kompletne wyrżnięcie się nawzajem – mruknął Michał.